

Kronika Podróży SITPChem do Rumunii w dniach 12 – 22 września 2013

12 września, czwartek, dzień pierwszy

Zdyscyplinowani uczestnicy i przygotowani na wszystko zarząd SITPChemem zjawili się punktualnie pod siedzibą NOTu, skąd – brum bun - odjechaliśmy o godzinie piątej w siną i ciemną dal, na razie po drugiego kierowcę do Krakowa i do Jasła po przewodnika. A stamtąd przez przełęcz Dukielską i Barwinek via Słowacja, Węgry do pierwszego hotelu w Rumunii, w Satu Mare blisko granicy. Podróż, mimo że długa (około 14 godzin) upłynęła przyjemnie dzięki wysiłkom Grażyny, która zaopatrzyła wszystkich w śpiewniki i wstępnie rozśpiewała oraz Joli, naszej sprawdzonej w boju podczaszej. Prezes sprawdzał, czy wszyscy są w dobrym humorze, Ela czy wszystko odbywa się zgodnie z harmonogramem i tak minął pierwszy dzień. Hotel Astoria w Satu Mare okazał się bardzo przyjemny, w stylu CK Austrii. Część z nas, jeszcze pełna sił powędrowała wieczorem penetrować okolice, ale główne zwiedzanie miasta odbyło się następnego dnia rano po śniadaniu.

13 września, piątek, dzień drugi

Pogoda przyjemna, wyruszamy zwiedzać Satu Mare, ponad 100 tysięcy mieszkańców, Rumunów i Węgrów. Najpierw Kościół z łańcuchami, który niczym się nie wyróżnia, po prostu sympatyczny klasycystyczny kościół ogrodzony łańcuchami, kolejna atrakcja czyli hotel Dacia niestety w remoncie i tylko z daleka podziwiamy piękny dach z kolorowej dachówki, bo fasada spowita rusztowaniami. Oglądamy też kościół katolicki, cerkiew, teatr Nord i synagogę, piękne secesyjne kamienice przy placu Wolności i kilka minut po dziesiątej wyruszamy przez góry i lasy Marmaroskie do Sapanty, małej miejscinki, która sławę zyskała dzięki Wesołemu Cmentarzowi. Autor malowideł i dekoracyjnych ornamentów w stylu naiwnym na krzyżach nagrobnych i epitafiów sumiennie opisał i zobrazował życie i przyczyny śmierci nieboszczyka, ale te obrazki i opisy raczej rozbawiają niż zasmucają zwiedzających, a że są niezwykle to przyciągają liczne wycieczki. Jedziemy dalej podziwiając bramy szeklerskie broniące wstępu do gospodarstw Węgrów, drewniane, solidnej słupowej konstrukcji, często z ławeczkami, daszkiem przykryte, wymyślnie powycinane i rzeźbione robią wrażenie. Charakterystyczne drewniane nadbudówki domów, arkadowe balkoniki, obudowane studnie- niejednokrotnie z żurawiem, siano w stogach na polach, owce i krowy na pastwiskach, a także transport konnymi furkami i woły w jarzmach, dopełniły klimatu żywego skansenu. Żeby oddać sprawiedliwość, równolegle buduje się dużo nowych domów, a drogi pełne są samochodów zachodnich marek. Zatrzymujemy się by zwiedzić pięknie malowaną cerkiew w Desesti z 1720 roku (wpisana na listę dziedzictwa kultury UNESCO) i żeński zespół cerkiewno- klasztorny w Barsanie zbudowany już po zmianie ustroju w 1993 roku. Pięknie wkomponowane w górski krajobraz kolejne budynki kryte gontem, wysmukłe iglice cerkiewek utrzymane w stylu rumuńskiej architektury, wokół kwiatki i plecione wiklinowe płotki, sielsko. Przenosimy się pod kolejną zabytkową cerkiewkę na cmentarzu w Jeud, normalnie zamkniętą, ale miejscowe dzieciaki zmotywowane lejami szybko znajdują odźwiernego i możemy oglądnąć malowane wewnątrz choć z braku jakiegokolwiek żarówki widoczne są tylko fragmenty. Dzień kończymy w hotelu Gabriela w Viseu de Sus, ostatnim mieście na szlaku w górach Marmaroskich.

14 września, sobota, dzień trzeci

Wyruszamy tradycyjnie po wczesnym śniadaniu a w autokarze świętujemy urodziny Teresy Piotrowskiej, śpiewamy 100 lat, jubilatka częstuje smakołykami, Prezes ściska w imieniu autobusu. Droga piękna, między dwoma parkami narodowymi Marmaros i Alpy Rodniańskie, niestety pogoda mglista, więc trudno podziwiać dalsze plany, a akurat mijamy miejscowość Borsa –punkt wypadowy pieszych turystycznych szlaków, m.in. z wyjściem na najwyższy szczyt Pietrosul 2303 m n.p.m. Przed nami zwiedzanie trzech podobnych klasztorów w stylu trójkonchowym na Bukowinie: Moldovity, Voronetu i Humor. Zbudowane w XV wieku za czasów wybitnego władcy Stefana III Wielkiego spełniały funkcje religijne i obronne – każdy z nich otoczony jest wysokim murem z zabudowaniami mieszkalno gospodarczymi. Cerkwie są pięknie pomalowane zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz, widoczny jest wpływ warunków atmosferycznych na stan malowideł zewnętrznych. Ponieważ cerkwie są „orientowane” tj. zwrócone ołtarzem na wschód, nietrudno stwierdzić, że

ściany południowe są jak nowe, a północne gdzie zaciną częściej deszcz i wiatr, splukane prawie całkowicie z farby. Podziwiamy kunsztowne malunki obrazujące sceny z biblii, drzewo Jessego, czyli drzewo genealogiczne Matki Boskiej, sceny zdobycia Konstantynopola i poruszające sceny z piekła – ku przestrodze? Wszędzie też święty Jerzy walczy ze smokiem. Każdy centymetr ścian jest zamalowany, króluje nasycony błękit. Każde wnętrze składa się z trzech części: przednawia, komory grobowej i nawy głównej. Wierni niewątpliwie nie nudzili się w czasie długich nabożeństw, bo scen do podziwiania i przemyśleń mieli co niemiara. Pod klasztorami kupujemy pierwsze pamiątki, piękne wyroby sztuki ludowej, a wśród nich króluje kunsztownie malowane pisanki – miejscowa huculska specjalność. Na Bukowinie jest kilka polskich wsi, chcemy zobaczyć choć jedną czyli Pleszę i już bylibyśmy bliscy szczęścia, ale okazało się, że jedyna droga tam prowadząca jest w remoncie i nieprzejezdna. Teraz czeka nas 250 km przez góry do Targu Mures. Piękne widoki i wspaniała tęcza po deszczu rozpięta pełnym łukiem, umilają podróż. Na miejscu jesteśmy około 21ej. Meldujemy się w hotelu Everest, zdecydowanie najmniej sympatycznym na całej trasie.

15 września, niedziela, dzień czwarty

Wczesne śniadanie i jedziemy zwiedzać Targu Mures. Miasto spore, do 1986 roku stolica węgierskiego okręgu autonomicznego, dla nas ważne bo tu miał sztab generał Józef Bem, a jego pomnik stojący dawniej przed tzw. domem Telekiego wywieziono w 1921 roku do Polski, co wykrył po intensywnym śledztwie nasz przewodnik, pan Darek, ale tajemnicą pozostaje - obecne jego miejsce. Poza tym oglądamy nowoczesny teatr narodowy, dość brzydki ale dobrze wkomponowany w okoliczne blokowisko, potężną cerkiew z XVIII wieku, synagogę i kościół katolicki. Sporo kamienic z XIX wieku, kolorowe dachy z Pecs, imponujące budynki administracji – prefektura, starostwo i dom kultury. Sporo pomników a wśród nich oczywiście wilczyca kapitolinińska z Romulusem i Remusem, masowo ozdabiająca miasta rumuńskie. Sesję zdjęciową we wszystkich miastach utrudniają girlandy kabli zwisające ze wszystkich fasad i fantazyjnie poskręcane i zbuchtowane na słupach. Wsiadamy w autokar i zmierzamy do kolejnej atrakcji, miasta Sighisoara czyli rumuńskiego Carcassonne położonego w centrum Rumunii. Otoczona murami sięgająca średniowiecza starówka z wielką wieżą zegarową z ruchomymi figurami i oczywiście kolorowym dachem, nieduże średniowieczne i barokowe kamieniczki, w tym zabawny dom Pod Jeleniem- wyglądającym ciekawie na ulicę, kryte drewnianą obudową schody szkolne prowadzące na wzgórze z zabytkowym XIV wiecznym kościołem i cmentarzem ewangelickim i dom narodzin hrabiego Drakuli, Włada- później Palownikiem /Tepes/ zwanego, od stosowanej szybkiej metody wykańczania przeciwników. Oczywiście, większość tutejszych zabytków wymaga odświeżenia, ale atmosfera jest tu tak fantastyczna, że wyjeżdżamy z żalem. Jedziemy przez tereny jeszcze do niedawna zamieszkałe przez Sasów, ale wymierają i wyprowadzają się zostawiając swoje zadbane wsie z gęstą zabudową Cyganom, którzy wprowadzają tu swoje porządki a raczej nieporządki. Przykro patrzeć. Teraz po przejechaniu ledwie kilkunastu kilometrów zwiedzamy chłopski zamek w Rupea, budowany przez Sasów z okolicy jako bastion obronny dla mieszkańców, na zielonym wzgórzu, wbudowany w rodzimą skałę, zamyka powierzchnię 11 ha. Takie chłopskie zamki potrafiły się bardzo skutecznie i długo bronić a z murów zamku rozciąga się piękny widok na okolicę. Całość przypomina trochę nasze zamki na Jurze. Ruszamy dalej, po drodze kościół obronny w Harman (tylko z poszukują okien autobusu) i kościół obronny Prejmer. Kościół z XIII wieku, na planie krzyża greckiego, jego budowę rozpoczęli krzyżacy a skończyli cystersi, piękne sklepienia i tryptyk ołtarza z centralną sceną ukrzyżowania, a wokół kościoła w murze 272 cele służące jako schronienie dla okolicznych rodzin w czasie oblężenia. W murach jest nawet szkoła. Przy parkingu stado głodnych psów, niestety stały, bolesny element krajobrazu. Około 18tej dojeżdżamy do Braszowa i lokujemy się w bardzo eleganckim hotelu Korona (facyńska nazwa Braszowa to właśnie Korona i stąd kolejno - Kronstadt).

16 września, poniedziałek, dzień piąty

Miło, bo choć raz możemy sobie pospać dłużej. Podjeżdżamy o 10tej do centrum i zaczynamy zwiedzanie „zgodnie z programem” co stało się obsesją naszego przewodnika. Braszów to duże miasto, ponad 300 tysięcy

mieszkańców, ale na starówce tego się nie czuje, bo jest na szczęście oddalona od blokowisk, które widać w całej okazałości dopiero z cytadeli górującej nad miastem. Zwiedzanie zaczynamy od spojrzenia na miasto z lotu ptaka spod Białej Baszty, jednej z kilku ocalałych baszt obserwacyjnych. Poza tym jest piękna brama św. Katarzyny i brama Schei w całkiem dobrze zachowanych murach obronnych, dzielących miasto na część saską (wewnątrz) i rumuńską. Za bramą Schei odnajdujemy wąziutką uliczkę Sforia (Powroźników) z rozporami, pomiędzy ścianami napierających domów, stamtąd przechodzimy koło synagogi pod gotycki Czarny Kościół, czarny po pożarze z 1689 roku. Niestety kościół w poniedziałek zamknięty a w środku ponoć piękny zbiór kobierców ofiarowywanych przez kupców po szczęśliwej podróży na wschód i pięknie brzmiące organy. Z kościoła blisko do ślicznego rynku z imponującym, choć jeszcze w remoncie ratuszem. Blisko rynku kamienica Hirschera, nieco podobna do krakowskich Sukiennic i o podobnym handlowym charakterze. Zwiedzamy jeszcze cerkiew Zaśnięcia NMP wtopioną w pierzeję kamienic przy rynku i już mamy czas wolny. Zawiedzeni są ci, którzy chcieli wjechać kolejką na wzgórze Tampa, bo kolejka nie wozi dzisiaj turystów (znowu poniedziałek), ale spacer po starych handlowych uliczkach z mnóstwem kafejek, wyprawa do cytadeli i przejście zabytkową Strada Dupa Ziduri, czyli „drogą za murami” wynagradza poniedziałkowe kłopoty. W Braszowie jest też budynek najstarszej rumuńskiej szkoły, a że właśnie dzisiaj rozpoczyna się rumuński rok szkolny, to wszędzie widać wystrojone dzieci i nauczycieli a przed rzeczoną szkołą na boisku odbywa się nabożeństwo. Braszów piękny, więc po kolacji większość z nas jeszcze spaceruje po starówce. Pogoda przyjemna, ciepło.

17 września, wtorek, dzień szósty

Opuszczamy hotel o 8ej rano obierając kierunek na Bukareszt, ale po drodze czekają na nas dwie atrakcje - tak różne zamki Bran i Peles. Najpierw średniowieczny zamek Bran zbudowany na skałach góruje nad miejscowością i jest bardzo malowniczy. To zamek obronny z XIV wieku, wzniesiony głównie jako obrona przed Turkami. Na dziedzińcu głęboka na 57 m studnia a całość zwieńczona licznymi wieżami i portalami. Jest też typowo polska attyka w kształcie jaskółczego ogona. W 1921 roku zamek stał się letnią rezydencją królewską i pozostał nią do 1947 roku. Rzeczywiście, wszędzie przeciągi, więc nikomu tam nie było w lecie gorąco. Pod zamkiem potężne targowisko – wyroby ludowe, sery, szynki ale też chińszczyzna w najgorszym wydaniu. Ze straganów straszy dzikie oblicze Draculi, który przemierzając to tu to tam, obecnie do wszystkich tych miejsc przyciąga turystów żądnych krwi. Przenosimy się dalej do miejscowości Sinaia, nad którą króluje zamek Peles. Wzniesiony na lesistych wzgórzach na tle gór Bucegi robi kapitalne bajkowe wrażenie. Zamek wzniesiono pod koniec XIX wieku dla Karola I Hohenzollerna, pierwszego króla rumuńskiego. Ostatni król Rumunii Michał – sędziwy, ale jeszcze żyjący, przekazał go narodowi w zamian za dożywotnią rentę. Droga pod zamek w remoncie i nasz autokar nie dojedzie. Słabsi biorą taksówki, reszta maszeruje piechotą, szerokim lesistym traktem, wzdłuż wartkiego strumienia. Okazuje się, że mimo iż to wtorek zamek nieczynny i przyjmują tylko wycieczki zamówione. Ale upór naszej grupy owocuje. W oczekiwaniu na wejście spacerujemy po ogrodzie: tarasy, rzeźbione balustrady, schody, fontanny, antyczne posągi i pomniki pierwszych gospodarzy - Karola I królowej Elizabeth w pozie szezlongowej, zajętej robótką. w końcu dostajemy się do środka i podziwiamy dzieło wiedeńskich architektów i rzemieślników z niemal całej Europy. Zamek jest eklektyczny, z elementami renesansu, baroku i rokoka. Właściciel miał żylkę kolekcjonera i w pałacu są dzięki temu ciekawe zbiory. Piękne drewno na ścianach i podłogach, imponujący westybul – z rozsuwanym dachem (wierzmy na słowo), złożonymi łóżami i spiralną klatką schodową, zbiory europejskiego oręża – ciekawa ale ciężka zbroja na konia (biedaczyna!), biblioteka z imponującym księgozbiorem, pokój muzyczny pani domu – fortepian, harfa, skrzypce - wszak królowa Elżbieta uzdolniona muzycznie i plastycznie była naturą artystyczną, arras, dużo szkła z Murano w żyrandolach, oprawach luster, piękna sala teatralna zdobiona m.in. przez Gustawa Klimta. Tajemnicze przejścia i lustra stwarzające iluzję potężnych przestrzeni. Jesteśmy w pełni usatysfakcjonowani. Teraz już wyruszamy do Bukaresztu i meldujemy się w przyjemnym, ale peryferyjnym hotelu Citadella. Do centrum na wieczorne spacerujemy jedziemy taksówkami. Taksówki są tanie pod warunkiem, że nie wpadnie się w szpony tutejszej mafii taksówkowej. Część z nas przyplaciła taką właśnie przygodę słonym rachunkiem. Ale wieczorna wizyta w starym centrum Bukaresztu udana. A imponujące wrażenie robi iluminacja potężnych fasad budynków banków, podczas gdy obok położone zabytkowe cerkiewki toną w mrokach nocy.

18 września, środa, dzień siódmy

W nocy padało, ale dzień jest słoneczny chociaż rześki. Przebijamy się przez poranne korki pod cerkiew Patriarchalną z XVII wieku, w której urzęduje prawosławny metropolita i akurat odbywa się nabożeństwo. Stamtąd przemierzamy się pod budynek parlamentu. Zbudowany na rozkaz Ceausescu - kolejnego po Draculi okrutnika i krwio pijcy narodu - w latach 1983-93 kosztem zburzonej wielkiej zabytkowej dzielnicy z cerkwiami, trzema klasztorami i setkami kamienic, ma 360 tysięcy m² powierzchni, 2,5 mln m³ i po Pentagonie jest drugim co do wielkości budynkiem na świecie. Projektowało go 700 architektów a budowało 20 tysięcy robotników na 3 zmiany. My zwiedzaliśmy przez godzinę, nogi już nas bolały a i tak udało nam się obejść zaledwie 3% całości. W środku styl a la nasz pałac kultury, dużo marmurów, złożone kandelabry, szklane żyrandole, wszystkie materiały rumuńskie. Dywany ważące po kilka ton i zasłony po ćwierć tony, ciekawe jak, jeśli je piorą? Po zwiedzaniu parlamentu jedziemy do zabytkowej części miasta gdzie szczęśliwie zachowały się piękne XIX wieczne i secesyjne kamienice, cerkwie i kościoły. Po drodze wypatrujemy pomnik naszego papieża JP II, który był tu w 1999 roku. Sporo tu zielonych skwerów i parków, szerokie ulice obsadzone szpalerami drzew. Bukareszt nosił miano Paryża wschodu i rzeczywiście miejscami można się z tym zgodzić. Już wjeżdżając do miasta podziwialiśmy łuk triumfalny niczym w Paryżu. Przez reprezentacyjne centrum miasta płynie rzeka Dambovita skierowana tu za pomocą tamy na życzenie Słońca Karpat. Bukareszt przeżywał burzliwe dzieje, a i najnowsza historia nie oszczędziła mu strasznych chwil, w 1989 roku toczyły się tu krwawe boje i z rąk snajperów zginęło ponad 900 osób, a otoczony Ceausescu salwował się ucieczką helikopterem! Oglądamy cerkiew Kretzulescu, budynki uniwersytetu, Rumuńskie Ateneum wzorowane na greckiej świątyni Ateny, gdzie obecnie mieści się filharmonia oraz wspaniały pałac królewski – zaadaptowany z siedziby bogatej rodziny kupieckiej, a w nim muzeum narodowe. Mają tu imponujące zbiory sztuki europejskiej i własnej, my decydujemy się na zbiory europejskie – widzieliśmy m.in. dzieła Bruegla, Cranacha, van Eycka, Rubensa, El Greco, Moneta, Sisleya i Renoira, a także rzeźby Rodina i jego uzdolnionej uczennicy i porzuconej kochanki Camille Claudel. Przenosimy się kawałek dalej na Calea Viktoriei gdzie w najpiękniejszych budynkach stolicy mieszczą się banki. Spod jednego z nich czyli Pałacu Kasy Oszczędnościowej CEC zaczynamy wędrówkę po zabytkowej dzielnicy z cerkiewkami, w tym Stavropoleos i św. Antoniego, tureckim karawanserajem (teraz hotel- funkcję zachował) i ruinami starego dworu z popiersiem Drakuli czyli Władcy Palownika -po raz kolejny. Kuszą kawiarenki wypełniające deptaki Starówki i jest pięknie, szkoda że trzeba gnać dalej czyli do Konstancy. Jeszcze tylko pożegnalne zdjęcie pod muzeum historii Rumunii z tajemniczą rzeźbą mężczyzny z wilkiem i ruszamy. Podróż ciekawa, rozległe już raczej nizinne krajobrazy Wołoszczyzny, trochę nowoczesnych wiatraków i maszyn pompujących ropę, przejazd przez Dunaj i jego rozlewiska i wreszcie Konstanca, duże niezbyt ładne, rozkopane i brudne miasto nad Morzem Czarnym. Kwaterujemy w hotelu Ibis, szczęśliwcy w pokojach z widokiem na morze. Mały rekonesans wieczorny po okolicy niezbyt zachęcający, wszystko rozkopane i biedne psiaki we wszystkich kątach. Pocieszające, że jak wreszcie skończą remonty na co dostali spore fundusze unijne to zrobi się tu ładnie, ale chyba drogo, więc korzystamy póki czas.

19 września, czwartek, dzień ósmy

Rano luzik, każdy robi co chce, czyli większość idzie na plażę i nawet najodważniejsi się kąpią, grupa Prezesa wyjeżdża autobusem do Eforie Mamai, gdzie jest ponoć przepięknie a o 14tej spotykamy się z przewodnikiem, który przygotował dla nas zestaw miejscowych atrakcji: zabytkowa cerkiew grecka blisko hotelu, muzeum historyczne z pomnikiem Owidiusza - w niełasce cesarza zesłanego do prowincjonalnej Konstancy, wykopaliskami z czasów rzymskich bo już w VI w p.n.e. było tu miasto Tomis, meczet z minaretem, kościół katolicki, synagoga, katedra ortodoksyjna i wspaniałe choć zapuszczone secesyjne kasyno z pocz. XX w. przy promenadzie nad brzegiem morza. Wracamy mijając latarnię morską i imponujący urząd morski oraz kilka eleganckich hoteli, które jednak wymagają liftingu. Także pomniki, w tym obowiązkowa wilczyca kapitolinińska. Spacer kończymy w parku archeologicznym. Najbardziej zawzięci jeszcze wg planu samodzielnie poszukują zabytkowych obiektów muzeów i teatrów. Ubolewamy, że wspaniały żaglowiec szkolny cumujący przy nabrzeżu jest niedostępny dla turystów, na pocieszenie pozostaje zdjęcie w folderze.

Po kolacji zgodnie z odwieczną tradycją SITPChemu spotykamy przy eleganckim rumuńskim winku na wieczorku towarzyskim. Profesjonalnie przygotowany Zarząd rozdziela nagrody zasłużonym w różnych dziedzinach, którzy pilnie zbierali nominacje w trakcie podróży. Grand Prix otrzymują państwo Horeccy, pani Nina za umilanie nam podróży uciechnymi historiami z podróży do Rumunii w zamierzczłych czasach komuny, a pan Ernest za prowadzenie chóru autobusowego. Trochę się pośmialiśmy, trochę posłuchaliśmy kolejnych historii i kawałów, trochę pośpiewaliśmy, było miło i wesoło.

20 września, piątek, dzień dziewiąty

W nocy padało i rano jest dość rześko, po porannym dokarmianiu piesków (to nasz stały rytuał) wyruszamy w drogę powrotną. Tym razem obchodzimy urodziny naszej wodzirejki, Grażyny Król. Jubilatka zażyczyła sobie zestawu swoich ulubionych pieśni, które autobus rażno i ochotnie odśpiewał. Po sześciu godzinach jazdy wjeżdżamy w góry i jedziemy malowniczym wąwozem wzdłuż rzeki Aluty- inaczej Olt- między górami Fogaraskimi (szczyt Moldoveanu 2544 m n.p.m.) i Parangul. W pobliżu po wysokich górach przebiega trasa fogaraska, widokowa droga samochodowa, ze względu na mgły i śniegi przejezdna tylko od czerwca do września- jeszcze jeden kaprys Ceausescu. Późnym popołudniem wjeżdżamy do XII wiecznego Sibina (Sibiu) w Transylwanii i zwiedzamy je prawie sprintem. A miasteczko jest piękne, uroczo rozciągnięte na okolicznych wzgórzach. W 2007 roku miało tytuł Europejskiej Stolicy Kultury i dzięki temu zyskało spore środki na renowację zabytków. Miasto dobrze obwarowane skutecznie opierało się atakom tureckim, bogaciło się i rozwijało. Stąd pochodzi kilku uczonych światowej sławy jak twórca rakiety samosterującej, homeopatii (Hahnemann) i historyk, który spisał dzieje Węgier, a także odkrywca pierwiastka tellur. Tu pierwsza szkoła i biblioteka powstały już w XIV wieku, a drukarnia w XVI. Przy Rynku stoi kilka średniowiecznych kamienic z charakterystycznymi „oczami” w dachach, jest też barokowy budynek Muzeum Narodowego w pałacu Brukenthala z ciekawymi zbiorami. Na rynku stoi kościół katolicki św. Trójcy z XVIII wieku a na drugim końcu placu stoi Wieża Ratuszowa pozostała po dawnym ratuszu. Pod wieżą przechodzi się na drugi wielki plac otoczony średniowiecznymi kamienicami. W jednej z nich jest muzeum farmacji ze średniowiecznymi zbiorami. Na ten plac weszliśmy od strony żelaznego Mostu Kłamców z 1859 roku mijając po drodze kościół ewangelicki z kolorowym dachem, ale zabytkowe wnętrze niestety niedostępne z powodu remontu. Rzuciliśmy jeszcze okiem na kościół katolicki św. Urszuli, synagogę i cerkiew. Te trzy obiekty występujące zgodnie obok siebie w każdym z poznanych miast Rumunii, pokazują jej wielokulturowość i złożoność etniczną. Hotel Class jest oddalony ponad 2 km od starówki, pogoda się psuje, ciemno i zimno, więc rezygnujemy z wieczornej eskapady.

21 września, sobota, dzień dziesiąty

Wyruszamy o 8ej, jest znacznie chłodniej, czasem pokropi. Pierwszy przystanek to twierdza Alba Karolina w mieście Alba Julia (Białogród) nad rzeką Maruszą (poznany wcześniej Muresz, nad którym stoi również wcześniej zwiedzany -Targu Mures czyli „targ nad rzeką”). Ta XVIII wieczna cytadela prezentuje się imponująco, pozostały solidne mury długości 12 km, w nich piękne barokowe bramy i bastiony. My wchodzimy przez bramę z popiersiami królowej Marii i jej małżonka tu koronowanego- Ferdynanda I. Część cytadeli nadal zajmuje baza wojskowa. Na wstępie zwiedzamy potężny sobór koronacyjny a zaraz potem wspaniałą XIII wieczną katedrę św. Michała z grobowcami rodziny Hunyadych w prawej nawie a w kaplicy królewskiej po lewej stronie znajdujemy grobowce Izabeli Jagiellonki i jej syna Jana Zygmunta Zapolyi. Izabela, siostra Zygmunta Augusta była żoną króla Węgier Jana Zapolyi, a po jego śmierci regentką małoletniego syna. W murach twierdzy mieści się też pałac Książęcy z XV wieku, biblioteka z XVIII wieku do dzisiaj b. ważna placówka naukowa licząca 60 tysięcy woluminów, w tym wiele rękopisów i inkunabułów, oraz budynki uniwersytetu. 1 grudnia 1918 roku podpisano w twierdzy zjednoczenie Rumunii z Transylwanią, więc jest ona ważna dla Rumunów, ale dla nas i Węgrów to też kawał ważnej historii. Opuszczamy Albę Julię, jadąc dalej wzdłuż rzeki Maruszy docieramy do Timisoary i meldujemy się w hotelu Timisoara w samym centrum. Pierwszy spacer po mieście – porównywanym do Wiednia - i pierwsze wrażenia – zabudowa z czasów Habsburgów, placom i ulicom nie brakuje rozmachu, mnóstwo zieleni. Najpierw spacer po rozległym Placu Zwycięstwa (P.Victorei) zwieńczonego z jednej strony naszym hotelem, budynkiem Politechniki (napis na fasadzie w pisowni oryginalnej), Teatrem Narodowym

z Operą oraz pałacem Hunyadych a na drugim katedrą prawosławną, gdzie jako że sobota odbywa się ślub za ślubem przy słonecznej pogodzie. Plac z licznymi fontannami i pomnikami ofiar komuny oraz niezastąpioną wilczycą kapitolijną prosto z Rzymu. Potem przechodzimy przez Plac Wolności (P. Libertatii) z barokowym starym ratuszem i słupem wotywnym na wielki Plac Zjednoczenia (P. Unirii) zamkniętym z jednej strony katedrą serbską, a z drugiej katolicką. Na środku trawiastego placu rozbito turystyczne namioty, czyżby jakaś akcja strajkowa w polskim stylu? Jeszcze indywidualnie zwiedzamy odnowiony bastion Teresy, gdzie teraz mieści się muzeum i knajpki, synagogę (do środka zaglądamy przez dziurkę od klucza), kilka mniejszych placyków i na tym kończymy zwiedzanie eleganckiej Timisoary. A międzyczasie było urwanie chmury!

22 września, niedziela, dzień jedenasty

Ruszamy o 8ej czasu miejscowego, czyli o 7ej naszego, najpierw poszukujemy marketu aby zrobić ostatnie zakupy i pozbyć się lei do ostatniej bani, stosowne centrum handlowe znajdujemy w Oradei. O 11.45 przekraczamy granicę węgierską z kontrolą paszportową i bez przeszkód podążamy w stronę Polski. Na kolejnej stacji benzynowej pozbywamy się forintów, a w słowackim sklepiku przed polską granicą pozbywamy się euro i złotych. Naszego przewodnika, pana Darka Sokołowskiego żegnamy w Jaśle. Będziemy go wspominać jako wyjątkowego człowieka – jeszcze żaden przewodnik nie rozliczał się z nami tak sumiennie z wydatków na wejścia i żaden tak ambitnie nie dokształcał się codziennie za pomocą Internetu aby sprostać wymaganiom naszej grupy i dać odpór ewentualnym malkontentom. Będziemy też mile wspominać naszych kierowców, sympatycznych górali spod samiuśkich Tater, panów Zbyszka i Grześka, którzy nie tracili humoru ani na chwilę, byli życzliwi i uczynni, a przy tym jak na górali przystało ignorowali windy w hotelach. Trzeba przyznać, że tegoroczna wycieczka była bardzo udana, zwiedziliśmy mnóstwo, nie było żadnych złych przygód a atmosfera była jak zwykle sympatyczna. Pod NOTem zameldowaliśmy się o przyzwoitej 21.30. Dziękujemy za wspólny miły czas.

Kronikę spisały siostry Monika Gałążewska i Joanna Rus